

Ciocia Jadzia (1916-1994)

Zygmunt Wojski (*Wrocław*)

Zygmunt Wojski urodzony 30 lipca 1941 roku w Skierniewicach. W latach 1941-1966 mieszkał przy ulicy Łowickiej 105 w Skierniewicach. W latach późniejszych objechał służbowo, jako romanista-iberysta, całą Amerykę Łacińską, Hiszpanię, Francję, Rumunię, Niemcy i Portugalię. W magazynie „Culture Avenue” można przeczytać wspomnienia z tych podróży w cyklu **„Ameryka Łacińska, Hiszpania, Portugalia, Francja i Niemcy oczami polskiego iberysty”**.

Była jedną z trzech córek leśniczego Poborca i całe dzieciństwo spędziła w Puszczy Bolimowskiej w leśniczówkach i gajówkach. W Budach Grabskich mieszkała w pobliżu domu dziadków Janusza Reszki i opowiadała mi, jak to dziadek Janusza wołał do swojej żony: „Beniu! Lis kury dusi!” Znała i kochała Puszcę Bolimowską, jak mało kto. Była urodziwą kobietą. Poznała brata mojej Mamy, Zygmunta Łazęckiego (1915-1942) i pobrali się.

Zanim został wykończony ich drewniany domek pod samym lasem wujek Zygmunt zaangażował się do partyzantki i działał na terenie powiatu skierniewickiego, między innymi we wsi Mokra Lewa, skąd pochodził jego kolega z partyzantki, niejaki Baran. Wiem, że roznosili ulotki antyniemieckie.

Babcia Łazęcka, matka wuja Zygmunta, nie była zadowolona z tej jego działalności i często zwracała mu uwagę na niebezpieczeństwo, jakie mu grozi ze strony wroga. Wuj Zygmunt odpowiadał na to jednym zdaniem: „Pilnujcie swoich garnków!”

Któregoś dnia na podwórku dziadków Łazęckich na Starbaczysze pojawił się typowy niemiecki motocykl z przyczepą. Byli to oficer niemiecki i jego tłumacz, który pytał babcię o wuja Zygmunta. Babcia odpowiadała, że nie wie, gdzie on może być. Wówczas zagrozono jej, że zabiorą w takim razie jego młodszego brata Tadeusza. W końcu ustalono, że wuj Tadeusz pojedzie z nimi tam, gdzie w istocie przebywał wuj Zygmunt, a było to pod samym lasem, na miejscu budowy domu, w którym potem mieszkała Ciocia Jadzia z synem Wiesławem, o rok starszym ode mnie. Zabrali wuja Zygmunta, który początkowo przebywał w więzieniu na Pawiaku, a potem, aż do tragicznej śmierci, w Oświęcimiu.

Rozpacz babci i Cioci Jadzi była ogromna. Ciocia Jadzia, ilekroć

wspominała te wydarzenia, zawsze płakała. Po zamordowaniu wuja Zygmunta władze obozu śmierci w Oświęcimiu wysłały do Cioci telegram w języku niemieckim treści następującej: „Ihr Ehemann ist gestorben” (Pani mąż zmarł). Ciocia pokazywała mi ten telegram. Aby zrozumieć jego treść poszła do biura notarialnego na ulicy Lelewela w Skierniewicach, gdzie znajoma notariuszka przetłumaczyła jej na polski tę straszną wiadomość. Można sobie łatwo wyobrazić, jak zrozpaczona była cała rodzina Łazęckich. Ciocia Jadzia jeździła jeszcze na Pawiak po odbiór ubrania wuja Zygmunta, co było kolejnym strasznym dla niej przeżyciem.

Przez całe życie Ciocia Jadzia pracowała jako sklepowa, także na Mokrej Prawej, dokąd jeździła na rowerze deszcz nie deszcz, wiatr nie wiatr, błotnistą polną drogą od lasu aż do wsi. Droga ta ma ponad kilometr długości. Klientela Cioci Jadzi zawsze miała o niej bardzo pozytywną opinię. Miała też szerokie znajomości wśród okolicznej ludności. W okropnym roku 1981, kiedy nawet herbaty nie można było kupić, na rowerach pojechaliśmy oboje z Ciocią do sklepu na Borowinach. Droga do tej przepięknej mazowieckiej wsi na skraju Puszczy Bolimowskiej wiedzie cały czas przez las. Ku naszemu zaskoczeniu w tak zwanym wówczas sklepie „Samopomocy Chłopskiej” na Borowinach półki się ugiwały pod paczkami różnorakiej herbaty. Wypełniłem nią cały mój plecak i miałem zapas na cały rok. Nie udałoby się to, gdyby nie fakt, że sprzedawczynią w tym sklepie była dobra znajoma

Cioci Jadzi. Gdy opowiadałem o tej wyprawie moim znajomym w Argentynie, nie mogli pojąć dlaczego po zwykłą herbatę trzeba było jechać na rowerze przez las i robić takie zapasy. No, ale ludzie w Argentynie jeszcze nie wiedzą, co to jest taki prawdziwy „fest” komunizm!!!



Jadwiga i Zygmunt Łazęccy, fot. arch. autora



Jadwiga z Poborców Łazęcka, fot. arch. autora

*

Moje wizyty u niezwykle gościnnej Cioci Jadzi zaczęły się, gdy byłem w ostatnich klasach szkoły powszechnej, bo wtedy właśnie pojawiły się w naszym gospodarstwie dwie krowy, które wypędzaliśmy na nasze pole aż na skraj Puszczy Bolimowskiej, czyli od naszego domu na ulicy Łowickiej blisko 3 kilometry. Domek Cioci Jadzi był od naszego pola bardzo blisko. W latach

80. jeździłem z Ciocią na rowerze do lasu na jagody. Podczas takiego zbierania przy pięknej, niemal upalnej pogodzie oboje śpiewaliśmy piosenki. Okazało się, że Ciocia pamiętała na przykład piosenkę „Kukułeczka” ze słowami Marii Konopnickiej i muzyką Zygmunta Noskowskiego („Po tym ciemnym boru kukułeczka kuka,/ z ranka do wieczora gniazdka sobie szuka”).

W tymże okresie zacząłem uczyć we Wrocławiu języka portugalskiego. Pewnego dnia, leżąc na leżaku u Cioci na podwórku, jałem śpiewać po portugalsku brazylijski marsz karnawałowy z repertuaru Nary Leão, pod tytułem „A banda” (Orkiestra). Przechodząca właśnie obok mnie Ciocia rzekła: „Wiesz co, Zygmuś, to znakomita muzyka do tańca. Fajnie by się tańczyło przy takiej muzyce!”

Innym razem podczas mojej wizyty zjawiła się u Cioci jej kuzynka, Fredzia Mildowa w towarzystwie warszawianki, która podawała się za śpiewaczkę operetkową. Więc ja natychmiast poprosiłem ją, by coś koniecznie zaśpiewała. Najpierw tłumaczyła się, że jest nieco zachrypnięta, bo za długo moczyła nogi w zimnej wodzie Rawki. Aliści ja mam, nie chwaląc się, dość obszerny repertuar operetkowy i gdy śpiewając najpierw sam kilka melodii doszedłem do „Arii Adeli” z „Zemsty nietoperza” (*Ja się śmieję ha, ha, ha*) pani warszawianka nie wytrzymała. Nasz śpiew rozlegał się szeroko i daleko po okolicy. Spłoszona nieco tym naszym występem Ciocia wyszła ze swego letniego

mieszkanka, gdzie coś pitrasiała i rzekła ostrzegawczo: „Zygmuś, ciszej trochę, bo zaraz tu zbiegną się ludzie, aby sprawdzić, co się dzieje!”

Na zakończenie było tango, już w letniej kuchence. Porwałem do tańca panią Fredzię, ale jej pies, sądząc, że mam wobec niej niezbyt dobre zamiary, jął na mnie skakać i niemal gryźć. Było bardzo wesoło u mojej niezapomnianej chrzestnej Cioci Jadzi, osoby szlachetnej, gościnnej ogromnie, niezdolnej w żadnej sytuacji do najmniejszej złośliwości wobec innych. Świeć Panie nad Jej duszą!

Zobacz też:

Trzy młyny nad rzeką Łupią

Wszystko zaczęło się w Bayreuth

Jolanta Łada-Zielke (*Hamburg*)

*Rozmowa z **Marcinem Klejdyszem**, założycielem i niegdysiejszym koncertmistrzem, a dziś managerem Orkiestry Akademii Beethovenowskiej o dwudziestoletniej historii i teraźniejszości zespołu.*



Marcin Klejdysz, fot. Marek Jędra

Orkiestra Akademii Beethovenowskiej (OAB) to jeden z najwybitniejszych zespołów symfonicznych młodego pokolenia. Tworzą go najwybitniejsi studenci i absolwenci europejskich wyższych szkół muzycznych: Akademii Muzycznej w Krakowie, Hochschule für Musik und Darstellende Kunst w Stuttgarcie, Hochschule für Musik w Karlsruhe, Royal Music Conservatoire w Brukseli, Conservatoire International de Musique w Paryżu i Universität für Musik und darstellende Kunst w Grazu. Zespół rozpoczął działalność w 2003 roku na **53. Festival jünger Künstler Bayreuth**. W 2005 roku, za sprawą Elżbiety Pendereckiej, Orkiestra Akademii Beethovenowskiej zadebiutowała podczas IX Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena w Warszawie, co stało się milowym krokiem w jej karierze. Liczne nagrania płytowe, współpraca ze światowej sławy artystami i koncerty na znamienitych scenach muzycznych Europy i świata – wszystko to wygląda imponująco w dossier orkiestry na jej stronie internetowej: [Orkiestra \(oab.com.pl\)](http://Orkiestra(oab.com.pl)) Zespół występuje regularnie z Chórem Koncertowym Darmstadt, gdzie od 2011 roku jest zespołem rezydującym. Oprócz dzieł muzyki wysokiej OAB wykonuje także muzykę rozrywkową i filmową.

Jolanta Łada-Zielke: W sierpniu 2003 r. pojechaliście do Bayreuth jako Orkiestra Kameralna Akademii Muzycznej w Krakowie z dwoma utworami: „Serenada na smyczki”

Mieczysława Karłowicza i „Divertimento” Marka Stachowskiego, ówczesnego rektora Waszej uczelni, które zagraliście na rozpoczęcie 53. Festival junger Künstler Bayreuth oraz w Petrikirche w Kulmbach. Jak wspominasz tamten okres?

Marcin Klejdysz: Pojechaliśmy do Bayreuth pełni energii i szczęśliwi, że jeszcze przed ukończeniem studiów mamy szansę na zawodowe wykonywanie ambitnej muzyki. Intendetka Festiwalu Młodych Arzystów, doktor Sissy Thammer nawiązała w tej sprawie kontakt z ówczesnymi władzami uczelni: profesor Teresą Malecką i profesorem Markiem Stachowskim. Byłem wtedy na czwartym roku studiów i pełniłem funkcję koncertmistrza Orkiestry Symfonicznej Akademii Muzycznej w Krakowie. Zlecono mi zebranie kameralnego składu na ten wyjazd i poprowadzenie z nim prób. Te dwa wspomniane przez ciebie utwory były swoistą „wizytówką” naszego zespołu. Publiczność odebrała je bardzo przychylnie, a recenzje w lokalnej prasie były pozytywne.



Copyright Beethoven Academy Orchestra, fot. Bruno Fidrych

J. Ł.-Z.: Później staliście się filarem Festiwalowej Orkiestry Młodzieżowej, która przygotowała I Symfonię Gustawa Mahlera pod batutą Pedro Halftera. Ty zostałeś koncertmistrzem całej orkiestry a Twoje dwie koleżanki koncertmistrzyniami altówek i wiolonczel.

M.K.: Wiedzieliśmy, że zostaniemy wchłonięci do Festiwalowej Orkiestry Symfonicznej, ale nie przypuszczaliśmy, że będziemy jej filarem. Przesłuchujący nas pedagodzy zgodnie orzekli, że zespół z Krakowa będzie trzonem tej ponad stuosobowej orkiestry, wykonującej I Symfonię Mahlera. Była to wielka nobilitacja, a przy tym odpowiedzialność, zwłaszcza dla mnie

jako koncertmistrza, bo wcześniej nie miałem okazji wykonywać tego dzieła. Ćwiczyliśmy bardzo pilnie i zagraliśmy z tą symfonią trzy koncerty, w Bayreuth, Berlinie i w Gerze.

J. Ł.-Z.: Mieliście też specjalne warsztaty z Adamem Fischerem, który dyrygował wtedy „Pierścieniem Nibelunga” na Bayreuther Festspiele. Z wami pracował nad uwerturą do „Śpiewaków Norymberskich” Wagnera.

M.K.: Warsztaty z Adamem Fischerem były dla nas wielką niespodzianką, ponieważ do końca nie wiedzieliśmy, kto z dyrygentów zaangażowanych na Zielonym Wzgórzu poprowadzi z nami tę otwartą próbę. Do dziś pamiętam wręcz kosmiczną siłę inspiracji płynącą od maestro Fischera. Marzymy, że uda się nam, jako Orkiestrze Akademii Beethovenowskiej, zaprosić go w najbliższych latach do współpracy. Wtedy w Bayreuth spotkaliśmy też Krzysztofa Meyera, który obchodził sześćdziesiąte urodziny oraz Gabriela Chmurę przy okazji wystawienia „Zmierzchu bogów” na Zielonym Wzgórzu. Maestro Chmura przyglądał się nam podczas prób do Mahlera i zaproponował mi, abym przyjechał na przesłuchania koncertmistrzowskie w NOSPRze.

J. Ł.-Z.: Na Wasze koncerty w ramach Festiwalu przyjechała także pani Elżbieta Penderecka.

M.K.: Z panią Elżbietą Penderecką byliśmy też razem na „Zmierzchu bogów” i dużo rozmawialiśmy w czasie przerw. Myślę, że nie doszłoby do powstania dzisiejszej Orkiestry Akademii Beethovenowskiej, gdyby te rozmowy odbywały się w Krakowie. A w Bayreuth, świadomi dystansu dzielącego nas od „krakowskiego podwórka”, dzieliliśmy się swobodnie przemyśleniami i pomysłami, jak wykorzystać sukces naszej orkiestry po powrocie do Polski. Pani Elżbieta dała mi swój numer telefonu i adres mailowy, które zapamiętałem bez zapisywania. Był to dla mnie i dla zespołu dar równy magicznemu Graalowi.

J. Ł.-Z.: Jak potoczyła się Wasza kariera po Festiwalu?

M.K.: Podczas rozpoczęcia roku akademickiego 2003/4 w Akademii Muzycznej w Krakowie wykonaliśmy nasz program z Bayreuth i zaraz potem pojechaliśmy na koncert do Berlina, gdzie zagraliśmy z okazji święta Zjednoczenia Niemiec 3 października. A jeszcze w Bayreuth, Georgios Kapoglou, który prowadził warsztaty z teatru operowego, przedstawił mnie niemieckiej publicystce Marie Luise Weinberger z Berlina, która zaprosiła nas do uświetnienia uroczystości rozdania nagród Quadriga, ufundowanych przez Werkstatt Deutschland Verein. Mieliśmy wtedy grać fragmenty „Suity na orkiestrę jazzową” Dymitra Szostakowicza, ale już od tego czasu promowaliśmy muzykę polską. Przy realizacji tego projektu odkryłem w sobie

zdolności managerskie. Byłem koncertmistrzem i inspektorem zespołu, a jednocześnie nawiązywałem kontakty i prowadziłem rozmowy w sprawie kolejnych występów, nagrań i tras koncertowych.



Copyright Beethoven Academy Orchestra, fot. Grzegorz Ziemiański

J. Ł.-Z.: Jaka jest Twoim zdaniem najważniejsza cecha menagera muzycznego?

M.K.: Myślę, że pewien rodzaj empatii, umiejętności wczucia się w potrzeby drugiej strony i przełożenie tego na odpowiedni repertuar. Tak narodziła się nasza fantastyczna współpraca z

Werkstadt Deutschland. Nazwaliśmy się wtedy Quadriga Chamber Orchestra. Zauważyliśmy też, że postrzeganie kultury muzycznej w Niemczech jest zupełnie inne, niż w Polsce. U naszych sąsiadów potrzeba obcowania z muzyką klasyczną jest dokładniej zdefiniowana, naturalna i bardziej intensywna. Niemieccy melomani bardzo interesowali się muzyką polską, byli zachwyceni jej bogactwem i zadawali dużo merytorycznych pytań. To zachęciło nas do realnego promowania muzyki polskiej za granicą.

J. Ł.-Z.: Co dało bezpośredni impuls do powstania Orkiestry Akademii Beethovenowskiej?

M.K.: W 2004 r. zagraliśmy ponownie kilka koncertów w Niemczech i w Polsce, z różnymi partnerami. W końcu postanowiłem wykorzystać kontakt do pani Elżbiety Pendereckiej i zaaranżować koncert specjalnie dla niej. Po długich staraniach zorganizowaliśmy taki występ w styczniu 2005 r. Patronowała nam powstająca wówczas rozgłośnia radiowa RMF Classic. Pani Penderecka pojawiła się na tym koncercie z dyrygentem Pawłem Przytockim, przyjechał także Georgios Kapoglou. Wykonaliśmy wtedy w kameralnej obsadzie utwory Pendereckiego, Karłowicza i najbardziej wirtuozowskie fragmenty z suity Benjamin Brittena „Wariacje na temat Franka Bridge”. Pani Penderecka była zachwycona i następnego dnia zadzwoniła do mnie z pytaniem, czy mogę rozbudować orkiestrę do składu beethovenowskiego.

Odpowiedziałem, że jest nas już 48 osób i współpracujemy ze świetnymi solistami, studentami ostatnich lat i absolwentami Akademii Muzycznej w Krakowie. Za jej radą zmieniliśmy nazwę na Orkiestra Akademii Beethovenowskiej. Po raz pierwszy wystąpiliśmy pod tą nazwą na IX Wielkanocnym Festiwalu Ludwiga van Beethovena w Warszawie, w marcu 2005 r. Był to „skok na głęboką wodę”, bo graliśmy w Filharmonii Narodowej w Warszawie, między występami Orkiestry NDR i zespołu Sinfonia Varsovia. Wcześniej nagraliśmy pod kierunkiem maestro Przytockiego naszą pierwszą płytę, którą rozdawaliśmy gościom festiwalowym. Zawiera ona „Die Trauersymphonie” Nr 44 Haydna i „Die Geschöpfe des Prometheus” Beethovena.

J. Ł.-Z.: Czy nazwa „akademia” nawiązuje do tego, że byliście wtedy jeszcze studentami?

M.K.: Niezupełnie. Ta nazwa odnosi się bezpośrednio do idei Festiwalu Beethovenowskiego, bo oprócz koncertów odbywają się na nim kursy mistrzowskie. Orkiestra pozostawała wtedy do dyspozycji mistrzów – pedagogów oraz młodych dyrygentów i solistów. Wtedy na tym miała głównie polegać nasza rola podczas tego Festiwalu. Obecnie jesteśmy zapraszani tam od czasu do czasu, jako już doświadczony zespół.

Dzięki wsparciu pani Pendereckiej zaczęliśmy występować na wszystkich najważniejszych festiwalach muzycznych w Europie i

na świecie. Bardzo cenny okazał się też dla nas kontakt nie tylko z muzyką profesora Pendereckiego, ale i z nim samym. Byliśmy jedną z jego ulubionych orkiestr, podróżowaliśmy wraz z nim po Europie i do Chin.

J. Ł.-Z.: Jaki był profesor Penderecki w bezpośrednim obcowaniu z Wami, młodymi muzykami?

M.K.: Przede wszystkim był dla nas wielkim autorytetem, który objawiał się zwłaszcza podczas dyrygowania i wspólnych rozmów o pasji muzycznej. To bardzo cenne doświadczenie, bo rzadko zdarza się muzykom wykonywać utwory w obecności żyjącego kompozytora, który wprowadza jeszcze ewentualne uwagi do partytury. Mieliśmy okazję zagrać wiele dzieł Mistrza, w tym premierowo jego „Poloneza dla Niepodległej”. To był człowiek szalenie autentyczny i szczery, który nie dążył do wielkiej sławy, tylko dzielił się ze światem swoim genialnym talentem otrzymanym od Boga i każdą chwilę spędzał twórczo. Był jednocześnie pokorny, ale i bezkompromisowy, jeśli chodzi o jakość wykonania: jak w danym miejscu ma być *sotto voce*, to tak właśnie musiało brzmieć. Potrafił być w tym przekonujący, co nas bardzo inspirowało.



Copyright Beethoven Academy Orchestra, fot. Bruno Fidrych

J. Ł.-Z.: Istotny obszar Waszej działalności to muzyka filmowa. Nagrywaliście między innymi ścieżkę dźwiękową do polskiego, kilkuczęściowego serialu „Czas honoru”.

M.K.: Od tego serialu zaczęła się nasza przygoda z muzyką filmową, zresztą kompozytor tej ścieżki – Bartosz Chadecki – był również kluczowym muzykiem naszej orkiestry. Inni twórcy tego gatunku spotrzegli, że zespół jest sprawny, dobrze brzmi i zaraz posypały się propozycje od promotorów i realizatorów muzyki

filmowej. Regularnie gramy na największym Festiwalu Muzyki Filmowej na świecie, który odbywa się w Krakowie. Całe Hollywood i cały Londyn zjeżdża wtedy do nas. Dziś nagrywamy dla najważniejszych amerykańskich wytwórni, jak Lucas Studio, Marvel Studio, Warner Bros, dla platformy Netflix, HBO oraz dla krajowych producentów takich jak Monolith Films i Universal Polska. Ostatnio dostaliśmy zaproszenie do Emiratów Arabskich na wykonanie muzyki z całej tetralogii „Władca Pierścieni”. To gigantyczny projekt na 97-osobowy skład, który realizujemy w grudniu 2023 przy współpracy z hollywoodzkimi dyrygentami. Traktujemy muzykę filmową na równi z klasyczną, a nie jak wyliczone matematycznie ścieżki soundtrackowe, choć w studio nie gramy tych utworów w całości, tylko fragmentarycznie i w sekcjach konkretnych instrumentów. Nieraz kompozytorzy z Hollywood mówią, że dopiero podczas naszego koncertu usłyszeli własną muzykę w całości.

J. Ł.-Z.: Spodziewałam się, że tego lata zagrać koncert jubileuszowy w Bayreuth, gdzie były Wasze początki.

M.K.: Niestety, nie znaleźliśmy w Polsce partnera, który wsparłby ten projekt od strony finansowej, nie otrzymaliśmy także dotacji z Ministerstwa Kultury. Liczyliśmy na to, że zostaniemy zauważeni dzięki naszej wysokiej jakości, potwierdzonej przez rekomendacje płynące z całego świata. Ale niejednokrotnie słyszałem od samorządowców i decydentów w

sprawach kultury: „Państwo świetnie sobie radzicie i na pewno nie potrzebujecie pomocy”. Może faktycznie sprawiamy takie wrażenie dzięki naszej aktywności, bo gramy od 50 do 120 koncertów rocznie. Jednak do dziś nie mamy stałego źródła finansowania. O wiele łatwiej rozmawia mi się o sprawach finansowych z partnerami niemieckimi, arabskimi, amerykańskimi, czy chińskimi. Oni doceniają nasz kapitał organizacyjny, jakościowy i biorą pod uwagę rekomendacje. W Polsce otrzymujemy czasem dotacje incydentalne, na przykład na projekt edukacyjny „Akademia Pana Beethovena”, czy autorski cykl zatytułowany „Jeszcze polska muzyka”.

J. Ł.-Z.: Na czym polega ten projekt?

M.K.: Prezentujemy utwory zapomnianych polskich kompozytorów: Wojciecha Alberta Sowińskiego, Ignacego Dobrzyńskiego, Miłosza Magina lub Romana Palestera, na tle arcydzieł europejskich. Ale i tak czasem musimy tłumaczyć decydentom, kto to jest Karol Szymanowski, albo Witold Lutosławski, chociaż na świecie grywa się tych kompozytorów. Dążymy do tego, żeby przykładowo niemieccy melomani mogli powiedzieć, że Polacy mają też swojego „Brahmsa”, albo „Beethovena”. Mamy bowiem własnych przedstawicieli wiodących nurtów kompozytorskich w Europie i na świecie. Jest to naprawdę piękna i zaawansowana światowo muzyka, jeśli wykonuje się ją na poziomie europejskim, jak robi to Orkiestra

Akademii Beethovenowskiej.

J. Ł.-Z.: Czy będziecie w jakiś sposób świętować Wasz Jubileusz?

M.K.: Nasze obecne logo nawiązuje do dwudziestolecia istnienia orkiestry, ale świętujemy ten jubileusz przy okazji każdego koncertu, bo każdy z nich jest świętem muzyki. 7 grudnia 2023 r. wystąpimy ze znakomitym pianistą Lang Langiem, a w październiku z Piotrem Beczałą. Przez cały czas spływają do nas nagrody za nasze albumy, ostatnio za „Doráti: Der Kűnder”, który nagraliśmy pod dyрекcją Martina Fischera-Dieskau z artystami takimi jak Tomasz Konieczny, Michael Schade i Rachel Frenkel. Mamy więc sporo okazji do świętowania. A w Bayreuth zagramy być może z okazji 25-lecia.

J. Ł.-Z.: Tego Wam z całego serca życzę i dziękuję za rozmowę.

„Gąska” Nikołaja
Kolady czyli Teatr
Nasz w zupełnie
innym wydaniu.



Marek Łuckoś i Iwona Szewczyk, fot. Krzysztof Wawer

Małgorzata Oman (*Chicago*)

Nikołaj Kolada rosyjski dramaturg, aktor, reżyser i pedagog jest od lat bardzo dobrze znany w Rosji, w Polsce i wielu państwach Europy. Był też wystawiany w Stanach Zjednoczonych. Jego druga sztuka "Slingshot" (Proca) była pokazywana w latach 80. w San Diego, CA przez Repertory Theater. W Chicago jednak, o ile się nie mylę, Kolada zaistniał na scenie tylko raz, w 2002 roku. Wtedy to widownia chicagowska miała możliwość zobaczenia jego sztuki "Go Away, Go Away" (A idź, a idź),

wystawionej przez National Pastime Theater.

Tym większe brawa dla Teatru Nasz, że zdecydował się sięgnąć po twórczość tego świetnego, współczesnego dramatopisarza, któremu obok garstki kilku innych dramaturgów, szykuje się tytuł ojca współczesnego rosyjskiego teatru. Taką właśnie opinię wydał o nim John Freedman, znany amerykański krytyk teatralny, znawca rosyjskiej literatury i teatru.

Wyborem "Gąski" Kolady, Teatr Nasz zdecydował się odejść od ich dotychczasowego kanonu inscenizacji opartych na polskiej klasycie. Moim skromnym zdaniem, jest to bardzo dobra decyzja i cieszę się, że tak się stało. Nie chodzi o to, aby zapomnieć o polskim dorobku literackim przeszłych pokoleń, ale o to, aby pokazywać również sztuki, które odbijają życie jakie toczy się obok nas, tu i teraz. Ten trend jest bardzo widoczny na amerykańskich scenach, gdzie w większości wystawiane są sztuki współczesnych dramatopisarzy, które jak w soczewce odbijają problemy naszego skomplikowanego świata.

Tak więc, dzięki Teatrowi Nasz, 24 marca 2023 roku w Chicago, a ściślej w na jego przedmieściach w Wood Dale, w Art Gallery Kafe, miała miejsce druga chicagowska premiera sztuki Nikołaja Kolady pt. "Gąska" (Kurica) w reżyserii Andrzeja Krukowskiego. Były to tak naprawdę trzy premiery w trzy wieczory weekendu, bo Teatr Nasz wystawił tę sztukę w trzech różnych składach.

Wiedziona ciekawością i głęboką sympatią do tego teatru, wybrałam się na dwie z nich.



Marek Łuckoś i Aldona Olchowska, fot. Krzysztof Wawer

Widownia w Art Gallery Kafe (miejscu, które od lat jest przyjazne sztuce w różnych wydaniach) szybko wypełnia się po brzegi. Szczęśliwcy siedzą, inni nadal szukają miejsca. Zbliża się 20:00, a ludzie wciąż napływają. Wszyscy cierpliwie czekamy na rozpoczęcie spektaklu. Nagle do naszych uszu dochodzi coraz głośniejsza kłótnia pomiędzy spóźnioną aktorką i reżyserem. Spoglądam pytająco na swojego sąsiada, (którym nota bene

okazał się znany chicagowski gawędziarz i radiowy komentator, Krzysztof Wawer), a on na mnie z takim samym zdziwionym wyrazem twarzy.

Nie jesteśmy pewni – czy to już sztuka, czy życie, które wyrwało się spod kontroli? I to pytanie zawisnie nade mną przez cały czas trwania obu spektakli, w czasie których tekst autora będzie się mieszał z własnymi wypowiedziami aktorów, niewątpliwie wzbogacających przedstawienie. Bardzo dobry tekst sztuki sam się broni, ale aktorzy Teatru Nasz, wnosząc do niego swoje drobne interpretacje. Dodając realia chicagowskiej rzeczywistości, zdecydowanie podnieśli jeszcze temperaturę przedstawienia i kompletnie podbili publiczność.

“Gaska” to historia, która przedstawia jeden dzień z życia aktorów prowincjonalnego teatru. Jest to bardzo intensywny dzień, bo gwiazda tej sceny – Ała, żona teatralnego administratora, po powrocie z gościnnych występów, dowiaduje się, że jej mąż chce ją opuścić dla nowej, młodej aktorki, tytułowej Gąski. Rozsierdzona Ała bez wahania wdziera się o 5 nad ranem do pokoju hotelowego Nonny (Gąski), aby ją skonfrontować i skłonić do wyjazdu z miasta. Jednak po wtargnięciu do pokoju i obsypaniu ledwo co obudzonej Nonny stekiem obelg, Ała odkrywa nową niespodziankę. Okazuje się, że nie tylko jej mąż, ale i inny członek zespołu teatralnego – Fiodor, został uwiedziony przez Gąskę. Fiodor zaś, to dyrektor

artystyczny teatru, były mąż przyjaciółki Ałły, Diany.



Gosia Duch, Mariusz Skowroński, Iwona Szewczyk i Marek Łuckoś, fot. Krzysztof Wawer

Tak ustawiona sytuacja stanowi początek bardzo dobrej komedii, bo od tego punktu cała akcja zaczyna się dopiero rozkręcać. Pikantne wypowiedzi, ostre dialogi, humor sytuacyjny oraz mimika i gra aktorów sprawiają, że przez widownię co chwila przetaczają się fale śmiechu. A jednak wśród tych komicznych sytuacji, widz napotyka na wiele momentów poważnych, które

skłaniają do myślenia. Dlatego twórcy spektaklu "Gąska" promowali go jako "...komedia, która nie wszystkich bawi...". I jest to bardzo świadomy zamysł autora sztuki, który w jednym ze swych wywiadów dla polskich widzów powiedział, "Trzeba sprawić, żeby publiczność na początku się śmiała, było zabawnie, wesoło. Potem wprowadzić ich w zamyślenie, a może nawet doprowadzić do płaczu nad losem postaci". Przemienność momentów komediowych z poważnymi w spektaklu Teatru Nasz jest znakomicie wspierana podkładem muzycznym.

Będąc samemu aktorem, Kolada zdecydowanie pisze swe dramaty tak, aby dawały aktorowi duże pole do popisu, dawały mu możliwość pokazania swojego talentu. W sztuce "Gąska" taką rolę jest niewątpliwie postać Ałły. To kobieta, która ma już pierwszą młodość za sobą, jest jednak względnie dobrze ustawiona w życiu i wie, że na swoich warunkach w przekonaniu, że nigdy się to nie zmieni. Oświadczenie męża, że chce ją zostawić, sprawia, że jej świat zaczyna trząść się w posadach. Ałła jest groteskowa, ale i godna pożałowania.

W piątkowy wieczór rolę Ałły zagrała Gosia Duch. Jej gra była dla mnie całkowitym *tour de force* tego przedstawienia. Jej oburzenie, jej pełne ekspresji wypowiedzi, mimika i gestykulacja sprawiały, że widownia wybuchała salwami nieopanowanego śmiechu. Siła osobowości tej aktorki użyczona jej postaci mocno emanowała ze sceny. Byłam zachwycona występem Gosi Duch i

zaskoczona jej talentem komediowym, tym bardziej, że ostatnio widziałam ją w roli jednej z muz w sztuce “Proces Pana Cogito” na podstawie tekstów Herberta, o której wcześniej pisałam na łamach „Culture Avenue”.



Gosia Duch, Aldona Olchowska, Marek Łuckoś, fot. Krzysztof Wawer



Gosia Duch, Iwona Szewczyk i Marek Łuckoś, fot. Krzysztof Wawer

W niedzielę wieczór w tę samą rolę wcieliła się Magdalena Miśkowiec. Aktorka o zupełnie innej powierzchowności, osobowości i typie energii. Byłam szalenie ciekawa, jak poradzi sobie z tą rolą. Było dla mnie jasne, że nie będzie miała łatwego zadania po obejrzeniu kreacji Gosi Duch. Ale i Magda Miśkowiec pokazała, że stać ją na wiele i jest w trupie Krukowskiego nie przez przypadek. Jej Ała bawiła widownię kontrastem rzucanych przez nią mocnych, niewybrednych słów z drobną budową tej filigranowej aktorki. Wybuchaliśmy śmiechem na jej ciągłe

nerwowe poprawianie peruki (świetna charakteryzacja Anny Chilińskiej) oraz umiejętność wciągnięcia publiczności do sztuki przez szalenie trafne, bezpośrednie odniesienia do siedzących na widowni. Magda Miśkowiec wniosła również coś nowego do postaci Ałły, a mianowicie element współczucia. Jej Ałła nie tylko bawiła, ale kiedy przychodziły momenty zamyślenia, jak w trakcie monologu na temat dobrze jej znanego hotelowego pokoju, gdzie się znalazła i wiśniowego sadu widzianego przez okno, trudno było nie odczuwać czegoś na kształt żalu dla tej kobiety, która uświadamia sobie upływ czasu i to, że obecne życie nie jest już takie proste i jasne.

Miałam okazję porozmawiać z Magdą o jej roli. Na pytanie, co łączy ją z Ałłą, aktorka po namyśle odpowiada, "Ałła ma w sobie żal i tęsknotę. Pomimo swojej krzykliwości, dużo przeżywa w sobie. Tu jest nasz punkt styczny". Kiedy pytam o jej niezwykłą umiejętność kontaktu z publicznością słyszę, "Niesamowicie dużo wyciągam z reakcji publiczności, to właśnie publiczność mnie nakręca i osadza w roli". Na przeciwległym biegunie znajduje się postać Nonny (Gąski), która w dużej części spektaklu biernie wysłuchuje tego, co mają jej do powiedzenia inni, tak kobiety (Ałła i Diana), jak i walczący o nią mężczyźni (Fiodor i Wasia). Nonna, młoda aktorka, stara się znaleźć swoje miejsce w świecie metodami, które zna i które są jej dostępne. Przekonuje się jednak, że to nie takie proste, bo w interesie wielu już "ustawionych" osób jest to, aby innych nie przepuścić,

nie dać im szansy, zamknąć im drogę. Nonna, w pierwszym akcie, po wysłuchaniu wszystkich obelg i nakazów, aby się wynosiła, wydaje się być zdruzgotana i decyduje się utopić. Próba nie jest jednak skuteczna i w drugim akcie w Gąsce budzi się duch oporu i walki. Nonna ma swoje pięć minut, w czasie których przedstawia napastującym ją kobietom jej percepcję ich charakterów i życia. One też zasługują na miano -gęsi, tyle że szarych, bez wizji i polotu, trzymających się kurczowo tego, co udało im się w życiu zagarnąć.

W piątek w roli Nonny wystąpiła Aldona Olchowska. Jej Nonna miała niezwykłą wewnętrzną delikatność, bezbronność i bezradność. W Nonnie słuchającej obelżywych słów dokonywała się powoli przemiana, którą Olchowska potrafiła wspaniale oddać. Siedząca biernie na łóżku, z rozmazanym makijażem (znów brawa należą się Annie Chylińskiej), zapatrzona gdzieś w dal, widziała swoje życie nikomu nie potrzebne. Cicha bezbronność Nonny- Aldony w pierwszym akcie była bardzo poruszająca. W niedzielę, w tę rolę wcieliła się Sara Krukowski. O ile Nonna- Aldony porwała mnie w pierwszym akcie, Nonna - Sary zachwyciła mnie w akcie drugim. Jej monolog pełen goryczy, miał w sobie także wiele jadu, jadu kobiety, która wie dokładnie na co patrzy i nazywa wszystko po imieniu. Nonna - Sary w swej ocenie otaczającego ją środowiska i ludzi, którzy stanęli na jej drodze, obnaża zaduch i stagnację ich świata i wie, że trafia swymi słowami w samo sedno. I mimo swej kruchości,

jest w niej siła, którą niesie prawda.



Iwona Szewczyk i Gosia Duch, fot. Krzysztof Wawer

W obu spektaklach postać Diany, koleżanki Ałły, grana była przez Iwonę Szewczyk. W czasie pierwszego przedstawienia miałam wrażenie, że aktorka jeszcze całkowicie nie dotarła do postaci Diany, ale w niedzielę, Iwona Szewczyk panowała nad nią i błyszczała, wspaniale partnerując Magdzie Miśkowiec w dialogach. Oczywiście nie można nie wspomnieć o rolach męskich granych przez Marka Łuckosia jako Fiodora oraz Stanisława Witka i Mariusza Skowrońskiego grającego na

przemian Wasię. Choć postaci mężczyzn nie były tak wyraziste, jak role kobiece w tym spektaklu, wszyscy panowie zdecydowanie przyczynili się do sukcesu sztuki, szczególnie Marek Łuckoś ze swoim zaplątanym spojrzeniem i świetnie odegranym monologiem na temat swojej byłej wizji przyszłości.

Pełne zaskoczenie stanowi zakończenie tej komedii. Po odejściu Nonny i pogodzeniu się par (Wasia zostaje z Ałą, a Diana przekonuje Fiodora, aby do niej wrócił) sztuka dobiega końca. Na naszych oczach aktorzy dekonstruują grane przez nich postacie; kobiety ściągają peruki, usuwają wypchane biusty, zaczyna się nawet rozmontowywanie sceny. Wszystkim tym akcjom towarzyszy wymiana komentarzy pomiędzy aktorami na temat charakteryzacji czy ich samopoczucia. Wydaje się, że zapomnieli, że widownia nadal obserwuje ich poczynania. Tyle że, w pewnym momencie i aktorzy i widzowie odkrywają, że w tyle sceny, pomiędzy kostiumami siedzi opuszczona, wykopana i kompletnie zagubiona Nonna, która mimo wszelkich zapewnień, że zna odpowiednich ludzi, którzy jej pomogą, tak naprawdę nie ma gdzie iść.

Oglądając sztukę Kolady trudno nie pomyśleć o komediach Czechowa, które przecież równie tak do końca komediami nie są. Mnie rzucił się w oczy jeszcze inny element, łączący twórczość tych dwu rosyjskich dramatopisarzy. Tak u Czechowa, jak i u Kolady bohaterowie tęsknią za przeszłością, którą idealizują. I

nie jest chyba przypadkiem fakt, że monolog Ałły o wiśniowym sadzie jest tak naprawdę monologiem Madam Raniewskiej właśnie z “Wiśniowego sadu” Czechowa. Ogromnie cieszy mnie fakt, że Teatr Nasz wstąpił w nową fazę i zaczął sięgać po sztuki współczesnych pisarzy. “Gąska” cieszy się ogromnym powodzeniem wśród polskich chicagowian i była już pokazywana sześć razy, a widzowie nadal proszą o jeszcze. Dla mnie to doskonały dowód, że wybór sztuki i zwrot w kierunku współczesności był trafny. Czekamy więc niecierpliwie co nastąpi dalej.

Zobacz też:

„Proces Pana Cogito” – intymny i intensywny spektakl Teatru Nasz

„Bal w operze” Juliana Tuwima wystawiony przez Teatr Nasz w Chicago

“Kwartet dla czterech aktorów” wystawiony przez TEATR
NASZ z Chicago

Enigma, portrety i literatura

Anna Kokot-Nowak (*Poznań*)



Rozalia Nowak (z lewej) z Anną Kokot-Nowak na tle wykonanych portretów, fot. © Tom Nowak Photography 2023

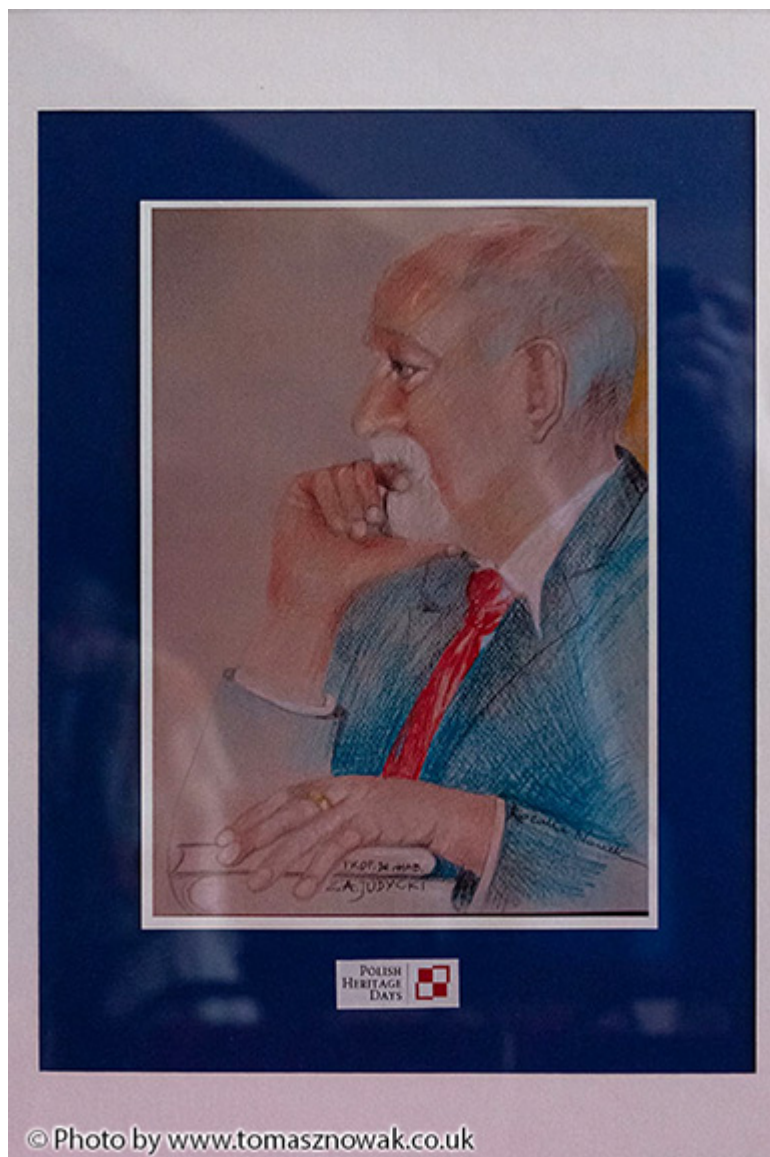
www.tomasznowak.co.uk All rights reserved

Portrety między innymi zmarłego niedawno prof. Zbigniewa Judyckiego, zasłużonego dla działań na rzecz Polonii, wydawcy i współwydawcy słowników biograficznych, organizatora międzynarodowych sympozjów biografistyki polonijnej, a także Ryszarda Kaczorowskiego – ostatniego prezydenta RP na uchodźctwie – oglądać mogli uczestnicy dwudniowego wydarzenia „Spotkanie przy portrecie”, zorganizowanego między innymi przez Światową Radę Badań nad Polonią, w ramach Polish Heritage Days – 20 i 21 maja 2023 roku, w londyńskich, historycznych ośrodkach kulturalnych: Polskim Ośrodku

Spółeczno-Kulturalnym (POSK) i Ognisku Polskim. Licznie przybyli goście tych jakże ważnych dla Polonii wydarzeń, z zainteresowaniem uczestniczyli w dwudniowej wystawie, na której znalazły się wizerunki przedstawicieli polskiego uchodźstwa niepodległościowego i Polonii. Podczas wernisaży można było zobaczyć portret Mariana Bohusza-Szyszko, artysty malarza, krytyka sztuki i publicysty, Mariana Kratochwila – malarza tworzącego na emigracji w Wielkiej Brytanii, Józefa Greena – aktora, reżysera i scenarzystę żydowskiego pochodzenia, Krystyny Skarbek-Giżyckiej – polskiej agentki brytyjskiej tajnej służby Kierownictwa Operacji Specjalnych, wywiadowczyni Secret Intelligence Service, Romana Koby – działacza społecznego i polonijnego, żołnierza Wojska Polskiego oraz Armii Krajowej. Pojawił się także i portret działacza Kazimierza Mochlińskiego i Wojciecha Falkowskiego – byłego, wieloletniego rektora Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO). Niespodzianką był portret Alana Turinga, matematyka, informatyka, wojskowego oraz kryptologa, który także w czasie II wojny światowej pracował nad złamaniem szyfrów Enigmy. Postać ta jest znakomicie znana w Wielkiej Brytanii, jego wizerunek zobaczyć można na banknotach o nominale 50 funtów. Autorką wszystkich tych portretów jest poznańska artystka malarka Rozalia Nowak, którą zaproszono do uczestnictwa w tym wyjątkowym wydarzeniu. Jej dorobek artystyczny pierwszego i drugiego dnia imprezy przybliżyła zebranych gościom poznańska dziennikarka i pisarka Anna Kokot-Nowak,

przypominając, iż jeden z kryptologów – Henryk Zygalski, pochodził właśnie także z Poznania, uczył się w gimnazjum św. Marii Magdaleny, a potem studiował matematykę i pracował na Uniwersytecie Poznańskim. To właśnie także w Poznaniu działa od roku 2021 Centrum Szyfrów Enigma. f





Portret prof. Tadeusza Judyckiego i jego autor Tadeusz Kurek oraz portret prof. Zbigniewa Judyckiego autorstwa Rozalii Nowak, fot. Tomasz Nowak

Goście po zapoznaniu się z osiągnięciami Rozalii Nowak, autorki ponad stu wystaw indywidualnych i zbiorowych, wieloletniej współpracownicy Instytut Badań Polonijnych, założonego przez prof. Zbigniewa Judyckiego i Agatę Judycką, uhonorowanej za działalność na rzecz Polonii medalem „Polonia Semper Fidelis” – mieli szansę poznać także dorobek drugiego z artystów – Tadeusza Kurka, pochodzącego z Ostrowca Świętokrzyskiego.

Twórca zasłynął także jako rzeźbiarz i projektant wnętrz. Zainteresowani mogli oglądać na dwudniowej wystawie stworzone przez niego portrety polskich kryptologów, którzy zaangażowali się w złamanie kodów niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma: Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Zygalskiego. Pojawiły się także inne rysunki tego artysty, przypominające choćby takie postacie, jak Ignacy Paderewski, Tadeusz Kościuszko, Maria Skłodowska-Curie czy Czesław Miłosz. Twórca pierwszego dnia imprezy promował projekt Pomnika Polonii, jako laureat Międzynarodowego Konkursu Rzeźbiarskiego. Zaprezentowana wizualizacja to monumentalna rzeźba z brązu o wysokości 350 cm, która symbolizuje Polonię, umieszczona na cokole, za którą na łuku rozmieszczone mają być na kolumnach popiersia, wyobrażające wybitnych Polaków – emigrantów. Drugiego dnia imprezy Tadeusz Kurek zaprosił z kolei gości do oglądania jego wystawy „Stolice Polski”. O osiągnięciach artysty opowiadała dr hab. Joanna Pyłat.



Tadeusz Kurek prezentuje swój projekt Pomnika Polonii, fot. © Tom Nowak Photography 2023 www.tomasznowak.co.uk All rights reserved

Zarówno pierwsza, kameralna część „Spotkania przy portrecie”, przygotowana 20 maja w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym (POSK), jak również druga, zorganizowana w historycznym, kultowym miejscu dla Polonii – Ognisku Polskim, prowadzona była przez dr hab. Joannę Pyłat, która jest jednocześnie główną pomysłodawczynią całości wydarzeń. Pierwszego dnia spotkania wygłosiła z prawdziwą pasją historyka niezwykle interesujący wykład, noszący tytuł: „Enigma i polscy łamacze kodów – Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski. Krótka opowieść o życiu i dokonaniach polskich

kryptologów”. Z wielkim zaangażowaniem opowiadała o mało znanych faktach także z prywatnego życia polskich łamaczy szyfrów Enigmy. Przed publicznością pojawiła się także Elżbieta Grabska-Moyle, która opowiedziała o wynikach konkursu – „Polacy kryptolodzy, którzy przyczynili się do złamania szyfru Enigmy”. Konkurs miał na celu wyłonienie autorów najlepszych scenariuszy lekcji. Organizatorzy liczą na to, że w najbliższym czasie wybrane, najwartościowsze pomysły na scenariusze zajęć lekcyjnych, będą z powodzeniem realizowane.

Ciekawym pomysłem była przygotowana i prowadzona przez dr hab. Joannę Pyłat dyskusja panelowa, której uczestnicy próbowali odpowiedzieć na pytanie o „Znaczenie malarstwa w promowaniu wizerunku Polski i Polaków w świecie”. Pierwszego dnia wydarzenia wzięli niej udział artyści malarze – Rozalia Nowak, Tadeusz Kurek, Monika Hoch-Zielonka (dyrektorka Polskiej Szkoły im. św. Królowej Jadwigi Forest Gate-Ilford) i Anna Kokot-Nowak. Rozmówcy zgodnie doszli do wniosku, że wydarzenia takie jak to, utrwalają dziedzictwo narodowe Polaków za granicą, pozwalając polskiej sztuce dotrzeć do odbiorców z różnych kręgów kulturowych.



Anna Kokot-Nowak przedstawia biogram Rozalii Nowak, fot. © Tom Nowak Photography 2023 www.tomasznowak.co.uk All rights reserved



Dr hab. Joanna Pyłat i autorka książki Anna Kokot-Nowak, fot. © Tom Nowak Photography 2023 www.tomasznowak.co.uk All rights reserved

W dalszej części sobotniego „Spotkania przy portrecie”, Anna Kokot-Nowak opowiedziała o swojej najnowszej książce „Ironiczne szczekanie pióra”. Publikacja jest zbiorem pięćdziesięciu felietonów literackich, a wydano ją w ramach stypendium Marszałka Województwa Wielkopolskiego w dziedzinie kultury za rok 2022. Autorka także w roku 2021 została zdobywczynią stypendium dla osób związanych z poznańskim środowiskiem kulturalnym, zajmujących się twórczością artystyczną. Podczas spotkania autorskiego ta dziennikarka, eseistka i krytyk literacki, nawiązała do swoich

inspiracji twórczych, czytając publiczności fragmenty aktualnych felietonów działacza społecznego, Aleksandra Świętochowskiego (szczególnie te, dotyczące sytuacji społecznej kobiet), a także swoje felietony, powiązane z kulturą, sztuką, nowymi mediami czy pojęciem patriotyzmu.

Niedzielną, anglojęzyczną część „Spotkania przy portrecie” z 21 maja („A Meeting by the Portrait”), odbywała się we wspomnianym już, wyjątkowym miejscu: Ognisku Polskim (Polish Hearth Club). Warto przypomnieć, że jest to polski klub, otwarty w roku 1940, będący londyńskim centrum życia kulturalnego, społecznego i towarzyskiego polskiej emigracji niepodległościowej. Bywał w nim między innymi uznany pianista Artur Rubinstein, prezydent RP na uchodźctwie – Edward Raczyński czy gen. Władysław Anders, który miał tam nawet własny, restauracyjny stolik. Wśród obecnych gości Ogniska znaleźli się między innymi radni dzielnicy South Kensington, przedstawiciele Ambasady RP w Londynie oraz Instytutu Kultury Polskiej w Londynie (w osobie pani Karoliny Gorazdy). Po powitaniu zgromadzonych przez dr hab. Joannę Pyłat oraz Monikę Hoch-Zielonkę, wykład „Enigma i polscy łamacze kodów – Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski”, odczytał w imieniu organizatorki Dan Zamoyski.



Wykład o polskich kryptologach przedstawia Dan Zamoyski, fot. © Tom Nowak Photography 2023 www.tomasznowak.co.uk All rights reserved

Wielkich emocji nie potrafiły ukryć dzieci i młodzież – zwycięzcy konkursu plastycznego „Enigma and Polish code breakers”. Uczestnikami zabawy okazali się uczniowie nie tylko polskich, ale także brytyjskich szkół. Jak podkreślali organizatorzy – konkurs był znakomitą okazją do upowszechniania wiedzy o polskich kryptologach wśród najmłodszego pokolenia, rodzajem wyjątkowej lekcji historii, angażującej dziecięcą kreatywność i talenty. W uroczystym wręczaniu nagród uczestniczyła Barbara Kaczmarowska-Hamilton, która w roku 2019 założyła Fundację Portretu (The Portrait Foundation). Artystka jest cenioną

portrecistką, malarką arystokracji i brytyjskiej rodziny królewskiej, a także sławnych osób, pochodzących z różnych kręgów kulturowych, absolwentką Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku oraz Accademia di Belle Arti w Wenecji i Rzymie. Jej portrety zasłużonych Polaków stanowią stałą część ekspozycji Ogniska Polskiego. Podczas imprezy z kolei można było zobaczyć między innymi namalowany przez nią portret Lady Diany. O najważniejszych osiągnięciach malarki opowiadała Beata Howe.

Anglojęzyczne „Spotkanie przy portrecie” było połączone z kolejną dyskusją panelową, także i tym razem przygotowaną i moderowaną przez dr hab. Joannę Pyłat. Ponownie rozmowy dotyczyły znaczenia malarstwa w promowaniu wizerunku Polski i Polaków w świecie. Wzięli w nich udział: Barbara Kaczmarowska-Hamilton, Beata Howe, Monika Ozigowercin, Dan Zamoyski i Anna Kokot-Nowak. Dyskutanci próbowali odpowiedzieć między innymi na pytanie, czy obraz może oddziaływać silniej niż słowo, czy ma większą moc docierania do odbiorców różnojęzycznych. W końcu socjolodzy określają XXI wiek jako „epokę kultury obrazkowej”. Sieć wirtualna i powiązane z nią serwisy społecznościowe sprawiły, że współczesna kultura określana jest jako wizualna. Okazuje się, że ten walor – wizualność, można wykorzystać, promując wartościowych ludzi oraz ich idee, poprzez sztukę, będącą właśnie często sprowadzaną do poziomu obrazu, fotografii. Sztukę wysoką, cenną. I tu szczególnie wartościowe wydają się być dokonania

działaczy emigracyjnych, o których historia powoli zapomina – powojennych artystów, literatów emigracyjnych. To ci, którzy byli przekonani, że spoczywa na nich jeden z najważniejszych, patriotycznych obowiązków, czyli dbanie o kulturę polską w jak najbardziej czystym stanie. Starali się do końca pozostać niezłomni, lecz zapłacili za to zdecydowanie zbyt wysoką cenę: zapomnienie. Przygotowane dwudniowe wydarzenie „Spotkanie przy portrecie”, miało za zadanie przypomnieć wybrane postacie emigracji, przywrócić ich nazwiska pamięci zbiorowej. Jak podkreślali organizatorzy wydarzenia, cel ten został osiągnięty.



Śpiewa Katarzyna Brył z Royal College of Music fot. © Tom Nowak Photography 2023 www.tomasznowak.co.uk All rights

reserved

Uczestnikom drugiego dnia „Spotkania przy portrecie” towarzyszył niezwykle śpiew Katarzyny Bryl z Royal College of Music. Młoda artystka wykonała pieśń „Smutna rzeka” („Sad River”), op. 74, nr 3, skomponowaną przez Fryderyka Chopina oraz poruszającą arię „Lasicia ch’io pianga” („Let me weep”) Georga Friedricha Händla. Organizatorami dwudniowej imprezy była Światowa Rada Badań nad Polonią, Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego za Granicą (ZNPZ) w Wielkiej Brytanii, Ognisko Polskie i Fundacja Portretu Barbary Kaczmarowskiej-Hamilton, a patronat nad imprezą objęły: Embassy of the Republic of Poland in London, Polish Cultural Institute in London, Polish Heritage Days, Polish Language Communication Centre in London PLCCiL oraz Zakład Dydaktyki Polonijnej PUNO.

Zobacz też:

Strażnik pamięci. Prof. Zbigniew Andrzej Judycki
(1948-2023).

Jak stać się kobietą niezależną

**Z Małgorzatą Szwed - coachem, mentorką, właścicielką
agencji marketingu i PR, dziennikarką - rozmawia
Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz (*Wielka Brytania*).**



Małgorzata Szwed

Niezależna, zaradna, twardo stąpająca po ziemi, a jednocześnie empatyczna i bardzo ciepła. W komunikacji nie tworzy barier, lecz je znosi. Bezwzględnie jest autorytetem; cieszy się szacunkiem i uznaniem w wielu kręgach społecznych. Spełniona zawodowo. Wspaniała mama. Dobry człowiek.

Małgorzata Szwed – dziennikarka, PR-owiec, mentorka kobiet sukcesu. Obecnie większość czasu poświęca pracy dla agencji rządu brytyjskiego tj. NHS, Home Office, Cabinet Office, którym toruje drogi komunikacyjne do społeczności mniejszości

narodowych, w tym Polaków, Latynosów i Azjatów. Ceni sobie pracę w międzynarodowym środowisku, które stara się eksplorować i integrować. Równie ważne jest dla niej jej dziecko wydawnicze – *Lejdiz Magazine* i *Lejdiz Online* – portal i magazyn, który wydaje jako kwartalnik, poruszając w nich wiele tematów lifestyle'owych, bez cenzury, kompletnie niezależnie od koncernów czy sił politycznych. Sercem i duszą służy ludziom, którzy są w centrum jej działań na każdym polu. Dlatego też, jako wykształcony i doświadczony (z ponad 20 letnim stażem) marketingowiec, okazjonalnie doradza przedsiębiorczyniom, jak kształtować ich biznesy i przygotowywać strategie marketingowe.

„Mentorka marketingu w nurcie Human to Human...” - Małgosiu, czy mogłabyś się z tego „wytłumaczyć” w pierwszej kolejności?

A ile mam przestrzeni?

A ile potrzebujesz?... (uśmiech!)

Powiem zatem w skrócie. (śmiej!) Od wielu lat posługiwano się różnymi określeniami w marketingu: B2C (marketing biznesu do konsumenta), B2B (marketing biznesu do biznesu). Wiele jest nurtów, w których się poruszamy, ale jako przedstawicielka ginącego gatunku general marketer, czyli tzw. *generalista*, a nie

człowiek od jednej działki, np. social mediów, marketingowiec po szkoleniu guru, musiałam w pierwszej kolejności odnaleźć siebie. Nie zgadzam się bowiem z archaicznym stylem marketingu, o którym już zapomniano w krajach zachodnich jakieś 20 lat temu, ale w Polsce to wciąż trzymający się mocno trend – marketing sprzedażowy.

Mówiąc bardzo ogólnie, w tym nurcie chodzi o to, żeby wytworzyć towar, potem go sprzedać i robić to za wszelką cenę, wykorzystując wszystkie możliwe metody. Na początku takiej ścieżki zawsze jest wytworzenie, najczęściej sztucznej potrzeby i towaru, który jest czymś konceptem, a nie realną potrzebą rynku.

Rozumiem, że Twoje działania są spersonalizowane?

W „human to human marketingu” nie mówimy o markach czy ludziach jak o numerkach czy bezmyślnych przedsiębiorstwach. Staramy się dotrzeć do tego, kim są właściciele marek, jakie wartości reprezentują, czym chcą się podzielić, komu pomóc i kogo przyciągnąć. Każdy jest inny. Podobnie jak spodnie czy sukienka nie będą pasować każdemu, tak i nie ma jednej, jedynie słusznej drogi marketingowej do serc klientów. Wszyscy Ci marketingowi guru, którzy wyrastają niczym grzyby po deszczu, wmawiają po prostu kit, oferując niezawodne, powtarzalne, jedynie słuszne rozwiązania, które mają działać u każdego. Każdy

wykształcony marketer Ci powie, że to utopia i bzdura. Miałam okazję studiować w Polsce, w UK i w USA, różne idee, nurty i definicje. Tyle ile marek na świecie, tyle conceptów na marketing. I to jest ok. W spodniach czasami trzeba skrócić nogawkę, czy podszyć rękaw w sukience. Po praniu mogą się zbiec i nie pasować wcale. Tak jest też z marketingiem. Dla jednych Facebook jest świetnym narzędziem, dla innych będzie to reklama prasowa czy telewizyjna. Każda marka powinna mieć swoją tożsamość, każdy właściciel powinien wiedzieć, czym interesują się osoby, które szukają rozwiązań właśnie u niego. Dobry marketingowiec to po trosze psycholog, socjolog, historyk, wizjoner, ale też w dzisiejszych czasach osoba biegła w rozwiązaniach technicznych. Trudno być we wszystkim dobrym, choć nietrudno powiedzieć, że marketingiem to Ty zajmiesz się sama i postrzegać tę działkę biznesu jako na tyle mało istotną, że w nią nie inwestujesz pieniędzy i czasu. Ostatecznie ja też musiałam sama się w tym wszystkim zdefiniować. Szczególnie w dzisiejszym świecie, kiedy każdy uważa się za marketingowca i fotografa.

W nurcie humanistycznym stawiamy na dialog. Zarówno z marką jako klientem, jak i ich klientami. Ich słuchamy, od nich się uczymy, udoskonalamy produkt, żeby coraz lepiej odpowiadać na ich potrzeby. Staramy się przede wszystkim zrozumieć konsumenta, jego problem, potrzebę i zaoferować rozwiązanie. W praktyce mogłoby to wyglądać np. tak- jeśli piszesz książkę-

zapytaj którą okładkę masz wybrać, czy masz nagrać audiobook, gdzie Twoi czytelnicy najchętniej czytają etc. Jeśli robisz świece zapachowe, pytaj swojej społeczności, która używa świec, jakich zapachów brakuje im na rynku, jakiej wielkości, kształtu, jaka etykieta, czy szklane, czy metalowe opakowanie.

„Human to human marketing” to także transparentna, otwarta komunikacja, jakże popularna ostatnimi czasy- autentyczność. Nie udawaj ananasa, jeśli jesteś rajskim jabłuszkiem, tylko znajdź takich ludzi, którzy utożsamiają się z jabłuszkami, nie ananasami. Pamiętaj o jednym, klient nie kupuje towaru, klient kupuje rozwiązanie, spełnione marzenie. W dodatku w czasach, kiedy rynek jest nasycony praktycznie każdym dobrem, najskuteczniejsze jest po prostu budowanie relacji. Wtedy jeśli klient będzie chciał coś rozwiązać, pomyśli właśnie o Tobie. Dlatego powtarzam to każdemu przedsiębiorcy: Twoim zadaniem, jako marki, jest doprowadzenie potencjalnego, obecnego czy przyszłego klienta do jednoznacznego skojarzenia Ciebie z rozwiązaniem. Np. Margaret – marketing humanocentryczny i *Lejdiz Magazine*, Agnieszka – poetka, pisarka, organizatorka eventów.

Następny interesujący punkt Twojego CV to dwujęzyczny Konsultant Marketingu Etnicznego... Również poproszę o rozwinięcie; szczególnie pojęcia „marketing etniczny”.

To w zasadzie od kilku lat moje główne zajęcie. Współpracuję z agencją, która obsługuje projekty rządu brytyjskiego, kampanie społeczne, etyczne, głównie z zakresu ochrony zdrowia. W zasadzie to my decydujemy w głównej mierze, czy coś chcemy komunikować czy nie. Agencja obsługuje kilkanaście narodowości, społeczności czarnoskórych, azjatyckich, latynoskich i moja ulubiona działka- wschodnioeuropejskich. Wszystko to po to, aby tzw. mniejszości narodowe wiedziały, jakie mają prawa i obowiązki, a także z jakich usług mogą i powinny korzystać, żeby np. poprawić swoje zdrowie.

Marketing etniczny to docieranie z dostosowanymi do kultury, tradycji i niuansów etnicznych komunikatami, które są łatwo przyswajalne i zrozumiałe dla naszych narodów. To bardzo rozwojowy kierunek w marketingu, wyizolowany jako trend w USA, gdzie zauważono po raz pierwszy, że hiszpańskojęzyczne mniejszości w Stanach nie oglądają amerykańskiej TV, nie czytają gazet i nie słuchają radia w języku angielskim, czyli de facto rynek traci nawet 1/3 dochodów, które mogłyby pochodzić z portfeli mniejszości. Wtedy postanowiono dotrzeć do nich z komunikatami w ich języku, uwzględniając ich zwyczaje czy niuanse kulturowe. To właśnie robię na co dzień. Najczęściej pracuję ze społecznościami azjatyckimi, z polską, ostatnio też z rumuńską czy latynoamerykańską. Oczywiście jeśli pracujesz z daną społecznością musisz poznać ich kulturę, wiedzieć co można mówić, w jaki sposób, w jaki nie, co lubią robić, co

czytają, oglądają, jakie święta celebrują. Osadzenie tej specjalizacji w nurcie humanistycznym bardzo mi pasuje. W zasadzie po to tu przyjechałam. Chciałam żyć w społeczności multikulturowej, otwartej. Ludzie, różnice i znajdowanie wspólnego mianownika pomiędzy nimi fascynowały mnie od zawsze.

Znam Ciebie przede wszystkim jako ciepłą i życzliwą dziewczynę, a następnie redaktor naczelną *Lejdiz Magazine*. Oznacza to, że swój sukces budujesz oddolnie. Stajesz się autorytetem w bardzo naturalny sposób. Zdajesz sobie w ogóle z tego sprawę?

Agnieszko, dziękuję przede wszystkim za miłe słowa. Nie czuję się jeszcze autorytetem w żadnej dziedzinie, choć niewątpliwie wierzę w to, że powinniśmy robić to, co naprawdę kochamy. Mamy wybór. Albo przeżyjemy życie, budując czyjeś marzenia, zawsze na etacie, od 9 do 5, patrząc codziennie na zegarek, czy już możemy wrócić do domu i rzucić się na kanapę, albo poddamy się pasji. Życie mamy jedno i bardzo krótkie. Odkąd stałam się niepełnosprawna, poczułam to jeszcze dobitniej i postanowiłam z niczym nie czekać. Stąd też pomysł reaktywacji magazynu, który istniał od 2010, ale od kilku lat gdzieś tam tlił się w tle i niewiele się działo. Pewnego dnia powiedziałam sobie: „Dość!” – niczym Agnieszka Chylińska w swoim utworze. Odkąd pamiętam, chciałam pisać, chciałam być dziennikarką. W tym

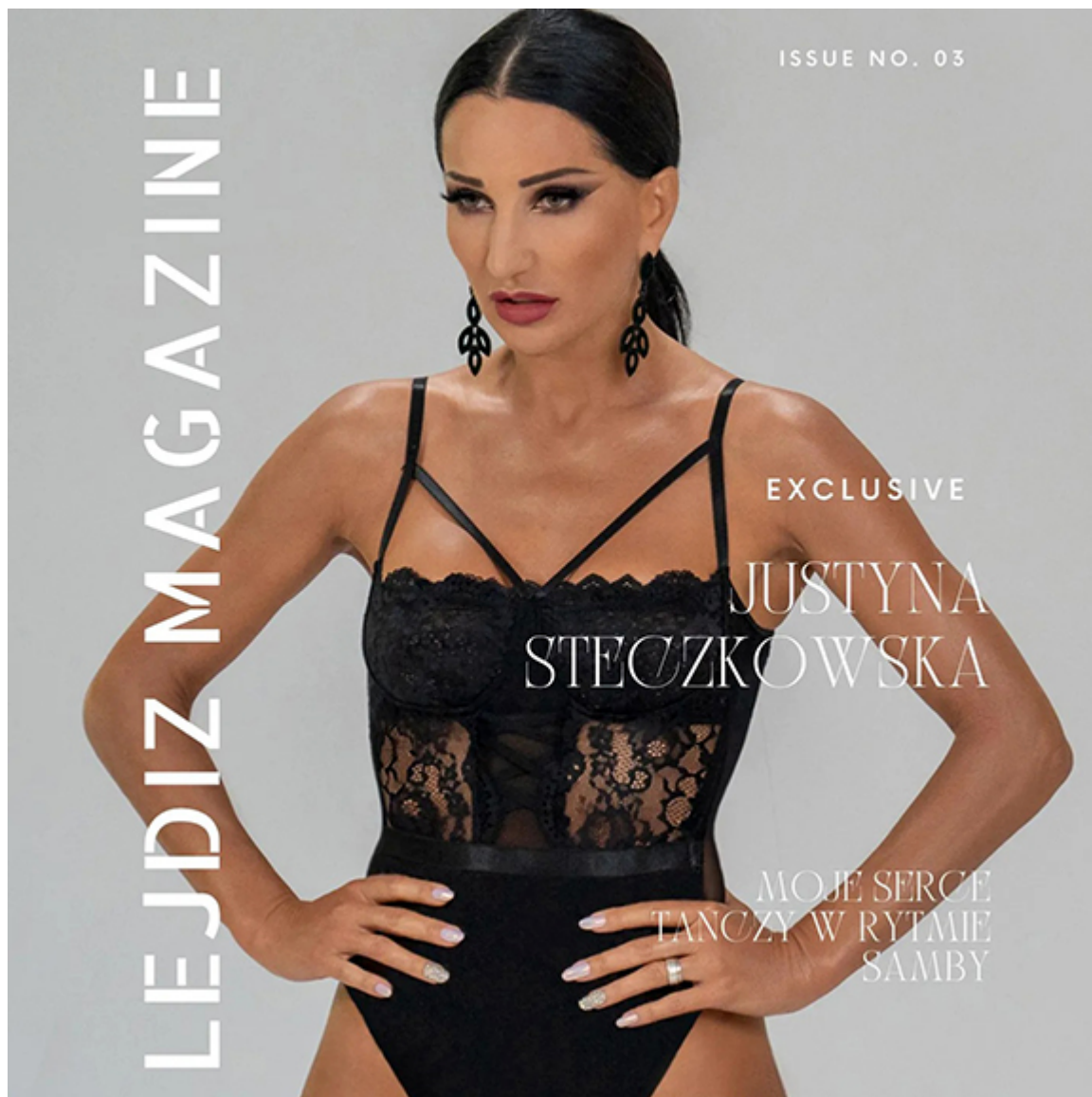
kierunku studiowałam. W liceum pisałam wielu osobom wypracowania, prowadziłam warsztaty z ich pisanie na prośbę polonistki, swoje prace pisałam w nieco inny sposób. Miałam to szczęście, że polonistki we mnie wierzyły i zadawały mi np. eseje filozoficzne czy sztuki do napisania, zamiast zwykłych rozprawek. Do tego postanowiłam, że pójdę śladami mojego Św. Pamięci dziadka Morawskiego i będę pisać jako, o ile mi wiadomo, jedyna w rodzinie. Choć nigdy nie będę w tym kierunku wybitna, gdyż jednak talent rozmył się nieco pokoleniowymi genami, to cieszę się, że mogę zarabiać na życie pisanem i rozmowami z ludźmi.

***Kobiety Sukcesu to Twoja Agencja Marketingu i PR.
Powiedz, z kim współpracujesz i jak można się z Tobą
skontaktować, gdyby ktoś chciał skorzystać z Twoich
usług.***

W zasadzie na dziś nie mam miejsc na mentoring. Cała moja uwaga poświęcana jest magazynowi i pracy konsultanta etnicznego. Czasami biorę na warsztat osoby, którym bardzo zależy, żeby ze mną pracować, ale to się odbywa na zasadzie poleceń osobistych i są to pojedyncze, zdeteminowane, świadome osoby. Nie pracuję już z tzw. dreamupami, czyli osobami, które jeszcze nic nie zarobiły na swoim biznesie, nie mają podstawowej o nim wiedzy. Na pewno muszę też sama pomyśleć o skalowaniu biznesu, ponieważ praca z pojedynczymi

klientami, choć bardzo satysfakcjonująca, w moim wydaniu jest bardzo absorbująca, zabierająca bardzo dużo czasu, co niekoniecznie przekłada się np. na zarobki. Mam świadomość, co powinnam zrobić, np. że powinnam już nagrać dawno przygotowane materiały do Akademii Biznesu, ale jak to mówią „szewc bez butów chodzi”. Nie będę stosować wymówek. Po prostu zabrakło czasu. Na wydanie książki o przedsiębiorczości dla mam napisanej dwa lata temu również. (uśmiech!)





*

W 2010 roku założyłaś *Lejdiz Magazine*? Jaka jest jego geneza i misja?

Wtedy też skończyłam studiować marketing w UK. Moja druga córka nie miała jeszcze roku, karmiłam piersią, nie chciałam wracać na etat. Żyłam również w trudnej relacji przemocowej i miałam świadomość, że muszę się jakoś uniezależnić. Przed

przyjazdem do Wielkiej Brytanii pracowałam w agencji reklamowej, a jeszcze wcześniej zakładałam magazyn dla dermatologów estetycznych. To był ogromny sukces na rynku wydawniczym w owym czasie. Nie było wtedy ani jednej profesjonalnie wydawanej gazety medycznej na kanwie magazynu lifestylowego. Byłam młodziutka, ale mi zaufano i pozwolono, w zasadzie dając wolną rękę, przygotować makietę magazynu, zatrudnić ludzi, znaleźć radę medyczną. Byłam prawą ręką prezesa, jednocześnie jego asystentką, redaktorką, dziennikarką – przeprowadzałam wywiady, nadawałam ton całej publikacji. Nasze drogi się jednak rozeszły, ale na kanwie pisma powstały podobne tytuły dla innych lekarzy. Mój pomysł był w efekcie ogromnym sukcesem. O ile mi wiadomo, tytuły istnieją do dziś, choć wydawnictwo zmieniło już dawno właściciela.

W 2010 roku obudziłam się nagle w środku nocy i pamiętam, jak pobiegłam do najstarszej córki z radosną wiadomością, że zakładam magazyn. Potem przedyskutowałam mój pomysł z przyjaciółkami w moim miasteczku i każda zgodziła się ze mną, że to doskonały pomysł, ponieważ wówczas poza *Coolturą* nie było nic, a szczególnie dla nas, czyli otwartych kobiet, które żyją na styku różnych kultur, w idei integracji kulturowej i korzystania z dobrodziejstwa Wielkiej Brytanii. Tak się to wszystko zaczęło. A później poszło już bardzo szybko.

Pracowaliśmy w grupie około 30 wolontariuszy, każdy z nas

dawał od siebie talent i czas. To była wspaniała grupa ludzi, prawdziwych artystów słowa, obrazu, wizerunku. Jednak z czasem dopadła nas rzeczywistość. Nie mogliśmy dłużej tworzyć bezpłatnie, a moje pożyczki na druk magazynu po prostu się skończyły. Wtedy zapadła decyzja o przeniesieniu pisma w przestrzeń online. Z częścią osób przyjaźnimy się do dziś. Ze „starej” ekipy czasami pisze dla nas Iza Smolarek. Z tamtym czasem znam też mojego zastępcę, Bartka Fetysza, który współtworzy ze mną nową wersję magazynu. Pozostali piszą książki, pracują w innych redakcjach, fotografują zawodowo, prowadzą swoje biznesy. Wtedy pracowaliśmy więcej w plenerze, dziś w „onlajnie”. (uśmiech!)

Jesteś także red. naczelną *Zdrowia UK*. Dla kogo przeznaczona jest ta pozycja prasowa?

Portal *zdrowie.co.uk* to dziecko, które urodziło się z mojego romansu ze światem medycznym – zarówno w przeszłości, jak i teraz, bo większość kampanii komunikacyjnych, które prowadzę dotyczy NHS-u, czyli odpowiednika polskiego NFZ. Wobec braku rzetelnej wiedzy medycznej podanej w przystępnej formie, a dotyczącej specyficznie nas, Polaków na Wyspach, zaistniała potrzeba stworzenia portalu, który by nam służył. Dzięki współpracy z NHS, mam często dostęp do informacji, o których nasze media nie mówią wcale, albo nie mają do nich w ogóle dostępu. To pozwala mi na dostarczanie sprawdzonych,

rzetelnych treści. Korzystam jedynie ze źródeł naukowych oraz informacji pochodzących z badań NHS, czy innych naukowców z całego świata. Zależy mi na tym, aby docelowo portal stał się przewodnikiem medyczno-kosmetologicznym dla Polaków na Wyspach, na którym będzie można znaleźć szybką pomoc/poradę, a także dotrzeć do odpowiedniego lekarza w razie potrzeby czy znaleźć sprawdzonego specjalistę np. od wybielania zębów czy botoksu.

Czy pamiętasz swoje początki w Wielkiej Brytanii i jak mają się one do tego, w jakim miejscu jesteś teraz? Czy miałaś swój plan na życie tutaj i go spełniałaś?

Oczywiście! Tego nigdy nie zapomnę. Wyobraź sobie, że stoisz na stacji Wiktoria, wysiadłaś właśnie z autokaru z Paryża, gdzie spędziłaś półtora miesiąca w zasadzie jako bezdomna, bo mieszkałaś w artystycznym squacie, do czego nikomu się nie przyznałaś, bo pojechałaś przecież do miłości swojego życia, w kieszeni masz dwadzieścia funtów i wielki plecak. Towarzyszy ci bardzo zakochany facet, ale potwornie zaborczy i życiowo nie do końca zaradny. Jesteś więc... „z niczym”. Idziesz przez miasto i nie możesz sobie pozwolić nawet na hamburgera w McDonalddie ani na bilet autobusowy. Jesteś głodna, nie masz ani picia, ani jedzenia. Trafiasz w końcu przez przypadek do hostelu, gdzie stać cię na jedną noc w sali osiemnastoosobowej. To byłam ja!

Na szczęście wliczone było śniadanie, więc następnego dnia zjedliśmy za poprzednie, ale jeszcze jakiś czas nie było nas stać na nic. W końcu urokiem osobistym przekonałam managerów hostelu, żeby nas przenieśli do innego i do pokoju dwuosobowego. Przez kilka dni żywiliśmy się najtańszymi puszkami z Islandii, jedną puszką dziennie. Zobowiązałam się do pomocy przy sprzątaniu, ale w międzyczasie zdołałam znaleźć pracę w Starbucksie. Oszczędzę czytelnikom i Tobie dalszej historii, ale finał był taki, że musiałam się ewakuować do innego miasteczka, by tam rozpocząć wszystko od nowa.

Miałam trzy prace jako kelnerka. Jednak po trzech miesiącach, musiałam ponownie zacząć od początku, bo pomimo ostrzeżeń managementu *Nandos*, że stracę pracę, gdy wezmę urlop, wybrałam komunię córki. Wróciłam ponownie do Londynu i tam (po kilku miesiącach pracy kelnerki) dostałam wreszcie posadę w *L'Occitane En Provence*. W zasadzie „wychodziłam” sobie tę pracę. Kto zna markę, wie, że są to kosmetyki luksusowe, drogie, a dostać się do firmy nie jest wcale tak prosto. Nieopodal mojej knajpki przy Oxford Street był jeden z butików *L'Occitane*. Bywałam tam bardzo często, pytając o możliwość pracy dla nich. W końcu po kilku miesiącach wezwano mnie na interview, ale do flagowego butiku na *Covent Garden*, wychwalając mój entuzjazm i zaangażowanie w pozyskanie tej pracy. Tam spędziłam trzy miesiące i awansowałam na stanowisko managerskie, ale w Guildford. I znowu zaczęłam wszystko od początku (uśmiech!).

Wyjeżdżając z Polski, nie miałam konkretnego planu. Zdałam się na intuicję, a ta poprowadziła mnie we właściwe miejsce i we właściwym czasie, choć pewnie 19 lat temu, kiedy tu przyjechałam, w ten sposób nie myślałam. Czy wiesz, że przez pierwsze dwa lata nie wiedziałam, że w UK są benefity i nie miałam telewizora? Dziś żyję już zupełnie inaczej i sama nie wiem, jak ja to wszystko zniosłam i jak to się stało, że po tak trudnych przeżyciach jeszcze tu jestem i mam tyle zapału do życia i tworzenia. Spotykając się z brytyjskimi ministrami, czasami sobie w duchu myślę: „I oto ona, która przyjechała tu z jednym banknotem, bezdomna, która nie mogła sobie pozwolić na pierwszą parę spodni z *Primarka*, żeby zacząć pracę, teraz siedzi i planuje z głowami państwa komunikację etniczną”. To moje 19 lat historii w skrócie (śmiech!).

Zaskakająca opowieść, trudna, ale dająca nadzieję. A jakie są Twoje plany i marzenia?

Nauczyłam się w życiu, że te pojęcia są niemal tożsame. Jeśli masz marzenie, to znaczy, że masz cel, jeśli masz cel, to zazwyczaj masz plan. Choć w przypadku tego ostatniego muszę się przyznać, że nie jestem skrupulatną planerką. Bardzo dużo słucham swojej intuicji, plan zazwyczaj modyfikuję w miarę posuwania się do przodu. Lubię działać na flow, nie wg kartki. To, przyznaję, jest moją wadą. Lubię spontaniczne akcje, szybko się zapalam do pomysłów, pomagania ludziom szczególnie.

Zauważyłam jednak, że często zostaję sama. Chcąc doprowadzić projekt do końca, po drodze wielu ludzi się wykrusza, wypala, a ja nie. Lubię tę nutkę satysfakcji w życiu, kiedy wiem, że zrobiłam kawał dobrej roboty i widzę jej efekty.

O czym powinna pamiętać każda kobieta, szczególnie Polka, która mieszka w Wielkiej Brytanii?

O sobie! Wyświechtany frazes, że musisz najpierw pokochać siebie, żeby kochać innych, jest pewnie jedną z niewielu prawd współczesnego nadmiernie pozytywnego i fejkowego coachingu, który ma sens. Nie musisz siebie 100% miłować, ale lubić siebie bardzo już tak. Nie ma to nic wspólnego z narcyzmem, tylko zdrowym podejściem do swojego dobrostanu. Jeśli masz obok siebie ludzi, którzy Ci nie sprzyjają, odetnij te kontakty. Czasami niestety mogą to być bliscy, którzy wiecznie dopytują np.: „A kiedy mąż, a kiedy wnuk, a kiedy kupisz dom?” lub docinają: „To jeszcze nie nazarabiałaś tych funciaków na dom w Polsce, albo pomóż mamusi, cioci, siostrze, przyjaciółce, koleżance z podstawówki, bo ty zarabiasz funtach, a nam jest tak ciężko”. Naucz się stawiać granice, mówić otwarcie o swoich uczuciach, planach i przekonaniach. Te natomiast zbudujesz tylko, gdy będziesz miała świadomość własnej wartości. Oczywiście nie muszę dodawać, że istotnym czynnikiem w budowaniu wartości jest umiejętność porozumiewania się w języku kraju, w którym żyjesz. Zatem jeśli do tej pory Ci się nie chciało, potraktuj naukę

języka jako wartość dla siebie samej. Pigułka na wzmocnienie.

Czuję, że to nie wszystko, co chcesz powiedzieć!

Zdecydowanie! Kochana Kobieto, staraj się być niezależna. Już dawno minęły czasy wieszania się na rycerzach na białym koniu. Droga siostró, buduj swoje imperium, aby móc żyć niezależnie od aury, kryzysów, odchodzenia męża czy partnera. Twoje królestwo może być w symbiozie z innym, ale w dzisiejszych czasach, kiedy związki rozpadają się jak drewniane klocki nieumiejętnie ułożone przez dwulatka, państwa są niestabilne i nie oferują już poczucia bezpieczeństwa, choćby finansowego, warto mieć zawsze plan B. To era przedsiębiorczości, a kobiety wg mojego doświadczenia świetnie się do tego klimatu adaptują. Pamiętaj, multitasking i emocjonalność to nasza broń kobieca. Jest nią także instynkt przetrwania. To są także cechy dobrego przedsiębiorcy, który niczym czołg jedzie przez pole życia, byle do przodu, byle do celu. Dodałabym tylko powiedzenie, że „kropla drąży skałę”, więc czasami powoli, ale idź małymi krokami do przodu, po drodze ucząc się lekcjami z niepowodzeń, porażek, bo te zawsze będą. Takie jest życie, szczególnie na emigracji, gdzie często brak rodziców, przyjaciół, uczymy się innego sposobu na funkcjonowanie, samodzielności i hartu ducha. Uważam, że teraz jak nigdy wcześniej w historii, zaczyna być doskonały czas dla kobiet, które powinny przejąć rządy i uspokoić trochę skażony rządzą pieniądza i władzy świat. Obecnie w rządzie brytyjskim

wielu polityków jest pochodzenia azjatyckiego. W mojej opinii kolejną falą polityczną będą właśnie Polacy. I oby jak najwięcej wśród nich było Polek. Zatem powinniśmy pamiętać, że jesteśmy ogromną wartością dla tego kraju i z dumną, podniesioną głową powinniśmy się tym szczycić i inspirować koleżanki innych narodów.

Małgosiu, bardzo dziękuję Ci za wyczerpujące odpowiedzi, bardzo szczerze i pochłaniające bez reszty. Za Twoje piękno, dobro i mądrość, którymi dzielisz się ze światem, a szczególnie z Kobietami!

Sztuka w okresie Wielkanocnym.

Wojciech Antoni Sobczyński z Londynu.



Kościół St. Johns Waterloo w Londynie

Wielkanoc zawsze była dla mnie wyjątkowa. To czas odnowy, czas zmian i nadziei. Pochodzę z Krakowa, jednego z najwspanialszych historycznych miast Europy. W okresie wielkanocnym, kiedy tylko jestem w tym mieście, odwiedzam Kościół Mariacki na krakowskim Rynku, aby kontemplować ołtarz – arcydzieło Wita Stwosza. Jestem też przyzwyczajony do słuchania „Pasji według św. Mateusza” Jana Sebastiana Bacha w londyńskich kościołach i salach koncertowych. Obrazy związane z tradycją chrześcijańską pozostają głęboko zakodowane w mojej podświadomości. Moje skromne kompozycje na temat Wielkanocy są przeznaczone do prywatnej kontemplacji. Mimo, że są przelotnie naszkicowane, starają się przekazać maksymalną siłę emocji. Czy widz dostrzeże tam Boga, pozostawiam do jego decyzji. Nie zamierzałem pokazywać tych prac, dopóki renomowany znawca dzieł sztuki, Julian Hartnoll, nie zauważył ich w mojej pracowni i udostępnił w swojej Duke Street Gallery na wystawę wielkanocną. Prowadził Galerię przez dziesięć kolejnych lat, aż do zamknięcia firmy. Teraz, w świeżo odnowionym i olśniewającym kościele St John's Waterloo, mam zaszczyt i przyjemność te wielkanocne prace ożywić, przy wsparciu Cannona Gilesa Goodarda i dyrektora artystycznego SJW, Eucharu Graviny.

Wojciech Antoni Sobczyński

W pątek 31 marca 2023 roku w Kościele St John's

Waterloo w Londynie zostanie otwarta wystawa rzeźb wielkanocnych Wojciecha Antoniego Sobczyńskiego. Otwarcie wystawy będzie towarzyszył koncert chóralny. Wystawa potrwa do 14 kwietnia 2023 r. Więcej informacji na stronie:

<https://stjohnswaterloo.org/event/art-at-easter-time/>



G A L E R I A





Wojciech Antoni Sobczyński w swojej pracowni w Londynie



Transfiguration (Transfiguracja), 67 cm





Golgotha, 61cm



Christ ascending into heaven aided by angels (Chrystus wstępujący do nieba w asyście aniołów), 54 cm





Christ in heaven - mixed technique (Chrystus w niebie, technika mieszana), 83 cm



Blind Face of violence - dedicated to suffering Ukraine (Ślepe oblicze przemocy - poświęcone cierpiącej Ukrainie) 125x80x60 cm





Wystawa w kościele St. Johns Waterloo w Londynie



Wystawa w kościele St. Johns Waterloo w Londynie





Resurrection (Zmartwychwstanie) 39xw31x10 cm



Zobacz też:

Wojciech Antoni Sobczyński - dialog z kompozycyjnymi
przemyśleniami

Polska myśl artystyczna poza krajem

Kolekcja polskiej sztuki emigracyjnej Andrzeja i Danuty Pawłowskich w Konsulacie

Generalnym RP w Toronto



Henry Hoenigan, Na wystawie, 1980

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)

Minęły cztery lata od śmierci Andrzeja Pawłowskiego – kolekcjonera sztuki, kronikarza wydarzeń artystycznych w Kanadzie, felietonisty i pisarza, rzeźbiarza i lekarza. Andrzej był ważną postacią w życiu artystycznym polonii kanadyjskiej. Analizował twórczość polskich plastyków-emigrantów w kontekście sztuki kanadyjskiej, pisał teksty omawiające sylwetki artystów, w prasie polonijnej zamieszczał recenzje z wernisaży, kolekcjonował obrazy i rzeźby tworzone przez polskich plastyków-emigrantów, doceniając tym samym ich pracę i wspierając finansowo.

Dzięki pasji kolekcjonerskiej Andrzeja powstał największy w Kanadzie zbiór dzieł, składający się z ponad stu prac – od rzeźby, poprzez oleje, akwarele, grafikę i rysunek, obrazujący najciekawsze dokonania artystów-emigrantów. Imponujący to dorobek, tym bardziej zasługujący na podziw, że żadna z organizacji polonijnych, z Kongresem Polonii Kanadyjskiej na czele, nie zbudowała kolekcji prac polskich plastyków mieszkających w Kanadzie, co spowodowało rozproszenie i zniszczenie dokonań polskich artystów.



Edward Koniuszy, Pying Woman, 1967



Lilian Lampert, Courtyard of Quebrada, 1992

*

Wśród prac w kolekcji Danuty i Andrzeja Pawłowskich znajdują się dzieła artystów pochodzących z trzech fal emigracji: wojennej, PRL-owskiej i solidarnościowej. Są tu nazwiska najważniejsze w historii polskiej sztuki emigracyjnej: Maria Schneider, Eugeniusz Chruścicki, Krystyna Sadowska, Bronka Michałowska, Tamara Jaworska, Edward Koniuszy, Lilian

Lampert, Jerzy Kołacz, Wiktor Zajkowski-Gad, czy Leszek Wyczółkowski.

Kolekcja Pawłowskich prezentuje najciekawsze dokonania artystów-emigrantów, różnorodność stylów i tematów – od rzeźby, poprzez oleje, akwarele, grafikę i rysunek. W latach 90. licząca ponad 70 prac kolekcja ofiarowana została konsulatu polskiemu w Toronto. Ten dar szczególny i wyjątkowy, miał na celu pozostawienie prac w Kanadzie, by świadczyły o obecności polskich artystów w krajobrazie sztuki kanadyjskiej.

Warto byłoby stworzyć katalog tych prac, gdyż kolejne ekipy pracujące w konsulacie mogą już nie orientować się w wadze i zasobach cennej kolekcji.



Bronka Michałowska, Flowers, 1989

Andrzej Pawłowski kochał Włochy, tę kolebkę kolekcjonerów – rodu Medyceuszy z Florencji i rodu Sforza z Księstwa Mediolanu. W Toskanii spędzał wielokrotnie wakacje zwiedzając tamtejsze muzea i studiując archiwa w bibliotekach i zakonach. I rzeźby i twórczość prozatorska Pawłowskiego czerpały inspirację ze sztuki i literatury włoskiej. Andrzej stworzył cykl rzeźb

dedykowanych Dantemu Alighieri. Kilka jego rzeźb znajduje się w Museo Dantesco w Rawennie, jak również w Muzeum Rzeźby w Orońsku.

Konsulat Generalny RP w Toronto, Museo Dantesco, Orońsko, prywatne kolekcje – to pozostawione ślady twórczych działań Andrzeja Pawłowskiego, przywołujące na myśl Horacego i jego sentencję – „non omnis moriar”.

*

Zobacz też:

Vermeer w Rijksmuseum w Amsterdamie